

“Division Origins - Początek Tom 1”



Nota Autorska:

Ta powieść jest dziełem fikcji.

Wszelkie postacie, wydarzenia i miejsca przedstawione w książce są wytworem wyobraźni autorów.

I nie mają bezpośredniego związku z rzeczywistymi faktami ani osobami.

Autorzy: Danio & AI

Wstęp - Początek

Dan Carter miał dwadzieścia lat, gdy założył policyjny mundur po raz pierwszy.

Dla wielu była to tylko praca, dla niego – tradycja i obietnica.

Jego ojciec służył w policji w Waszyngtonie przez ponad dwadzieścia lat, aż do dnia, w którym zginął na służbie.

Dan dorastał w cieniu tej historii i wiedział, że kiedyś również włoży mundur.

Najpierw poszedł na studia, potem – zaciągnął się do wojska.

To był jego sposób, by nauczyć się dyscypliny i sprawdzić, czy ma w sobie to, co miał jego ojciec.

Po krótkiej służbie w armii wrócił do cywila.

I wtedy wypełnił swoje najważniejsze postanowienie: wstąpił do policji.

Gdy wchodził do akademii policyjnej, nie miał w sobie ani odrobiny wątpliwości.

Chciał zostać policjantem.

Rozdział 1 – Akademia

Kiedy wrócił z wojska, jego decyzja była szybka i prosta – papiery do policji.

Nie musiał się długo zastanawiać.

Wiedział, że właśnie tu jest jego miejsce.

Instruktorzy spojrzeli na jego podanie, a kiedy usłyszeli nazwisko – zrobili krótką pauzę.

– Carter ... – mruknął jeden z nich, wertując dokumenty.

– Twój ojciec był policjantem w Waszyngtonie.

Dan tylko skinął głową.

– Był.

– Dobry glina – dodał drugi, starszy, jakby wspominając dawne czasy.

– A ty? Myślisz, że dorównasz ojcu?

Carter wyprostował się i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie wiem, czy dorównam. Ale wiem, że spróbuję.

Kilka osób na sali parsknęło śmiechem, jakby nie wierzyli, że chłopak w jego wieku jest gotów na taką odpowiedzialność.

Ale dla Dana to nie było przechwałki – to była obietnica.

Pierwszy dzień w akademii nie był powitaniem – był testem.

Na sali gimnastycznej zebrano kilkudziesięciu rekrutów.

Zderzenie zapachu świeżej farby, potu i gumy z butów tworzyło atmosferę, którą Dan znał już z wojska.

Instruktor, wysoki i szczupły, z twarzą wyrytą zmarszczkami doświadczenia, wszedł na środek.

– Witajcie w akademii.

Od dzisiaj zapomnijcie o tym, kim byliście.

Tu zaczyna się wasze nowe życie. A ja zadbam, żeby dla niektórych szybko się skończyło.

Kilku rekrutów wymieniło nerwowe spojrzenia.

Carter patrzył prosto przed siebie.

To był znajomy ton – ton sierżanta, który nie prosił, tylko rozkazywał.

– Dziesięć okrążeń sali!

– wrzasnął instruktor.

– Już!

Równy stukot butów odbił się echem od ścian.

Część młodych ludzi już po kilku minutach zaczęła sapać ciężko, kilku zwolniło tempo.

Carter trzymał równy krok, oddech spokojny, ruchy wyważone.

Jego wojskowe lata od razu dawały przewagę.

– Tempo, Carter!

– krzyknął instruktor.

– Myślisz, że nazwisko wystarczy?

Dan nie odpowiedział.

Przyspieszył, mijając dwóch innych rekrutów, którzy już ledwo biegli.

W głowie miał tylko jedno zdanie: Nazwisko to początek. Resztę muszę udowodnić sam.

Po zakończeniu biegu instruktor podszedł bliżej, patrząc mu w oczy.

– Zobaczymy, czy masz w sobie coś więcej niż ojciec

– rzucił chłodno.

Kilku rekrutów spojrzało na Dana ukradkiem.

Jedni z podziwem, inni z zazdrością.

Dla Cartera był to dopiero początek.

Na strzelnicy rekruci ustawili się w szeregu. Broń w dłoniach, cel przed nimi.

Instruktor krzyknął:

– Ogień!

Seria strzałów rozległa się echem.

Carter strzelał pewnie, celnie – jego wojskowe doświadczenie robiło swoje.

Obok niego Mike Harris trafił w tarczę kilka razy, ale nie tak dobrze.

Spojrzał kątem oka na wyniki Cartera i prychnął:

– Jasne.

Synuś gliniarza, pewnie miałeś broń w rękach zanim zacząłeś chodzić.

Dan nie zareagował, tylko przeładował magazynek i kontynuował.

Instruktor przeszedł obok, spojrzał na tarcze.

– Carter – świetny wynik.

Harris... popraw się, albo długo tu nie pobędziesz.

Mike zacisnął zęby.

Po strzelaniu, gdy odchodzili z linii, szarpnął Cartera za ramię.

– Pamiętaj, Carter – nazwisko ojca ci tu nie pomoże.

Dan spojrzał mu prosto w oczy, chłodno.

– Nie nazwisko strzelało w tarczę.

Kilka tygodni później – Akademia

Rywalizacja Cartera i Harrisa narastała z każdym dniem.

Najpierw były docinki, potem przepychanki na treningach.

W końcu, po kolejnym ostrym komentarzu Harrisa, Dan nie wytrzymał.

– Zamknij się wreszcie, Harris

– warknął.

– Masz problem, to powiedz wprost.

– Mój problem to ty, Carter

– odpowiedział tamten, wbijając mu palec w pierś.

– Myślisz, że jesteś lepszy, bo masz nazwisko.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, obaj ruszyli na siebie.

Pięści poszły w ruch, przewrócili jeden z metalowych stolików.

Reszta rekrutów krzyczała, próbując ich rozdzielić.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Do mojego gabinetu. Natychmiast!

– wrzasnął dowódca akademii.

Siedzieli naprzeciwko siebie w jego biurze, spoceni, z rozbitymi wargami.

Dowódca wpatrywał się w nich jak w dwóch niesfornych chłopców.

– Wiecie, co wam grozi?

– zapytał lodowatym tonem.

– Dyscyplinarka.

Wyrzucenie. Koniec waszych marzeń o policji.

Zapadła cisza.

Carter spojrzał na Harrisa, Harris na Cartera.

Wtedy Dan odezwał się pierwszy:

– To moja wina, panie komendancie.

Nie wytrzymałem i sprowokowałem bójkę.

Harris zmrużył oczy, ale po chwili dodał:

– Nie. To ja zacząłem. Carter tylko się bronił.

Dowódca podniósł brew.

– Ciekawe.

Dwóch twardzieli nagle próbuje chronić siebie nawzajem.

Oparł się na biurku, pochylając do przodu.

– Posłuchajcie, chłopcy.

Albo nauczycie się współpracować, albo obaj wylecicie.

To nie jest miejsce dla indywidualistów.

To jest drużyna. Jasne?

– Jasne

– odpowiedzieli równocześnie.

Kilka godzin później siedzieli na ławce przed akademią, jeszcze z zakrwawionymi wargami.

– Jesteś uparty jak osioł

– rzucił Harris, ale w jego głosie nie było już złości.

– Ty też

– odpowiedział Carter, poprawiając opatrunek na dłoni.

Zapadła krótka cisza, po czym Dan dodał:

– Może ten stary miał rację. Razem pójdzie nam lepiej.

Harris spojrzał na niego, a potem uśmiechnął się krzywo.

– Dobra, Carter.

Od teraz jesteśmy w jednej drużynie.

Ale pamiętaj – jeśli schrzaniisz, będę pierwszy, który ci to wypomni.

– Umowa stoi

– odpowiedział Dan.

Od tamtego dnia rywale stali się partnerami.

Akademia – Trening Symulacyjny

Tydzień po incydencie w gabinecie komendanta przyszedł dzień testu zespołowego.

Rekruci zostali podzieleni w pary.

Zadanie: wejście do budynku, zabezpieczenie zakładników, eliminacja „napastników”

– instruktorów grających rolę przestępców.

Carter i Harris stanęli obok siebie, z atrapami broni w dłoniach.

Jeszcze kilka dni temu próbowaliby się prześcigać, ale teraz wiedzieli, że tylko współpraca da im wynik.

– Ty lewa strona – powiedział szybko Carter.

– Ja prawa. Kryjemy się nawzajem.

– Jasne

– odpowiedział Harris krótko. Bez docinek, bez kłótni.

Syrena zawyła. Ruszyli.

Drzwi otworzyły się kopniakiem Harrisa.

Carter wpadł pierwszy, celując w prawo.

Huk ślepych naboju odbił się echem

– jeden z „napastników” padł na ziemię, udając trafionego.

– Zakładnik!

– krzyknął Harris, wskazując manekina przypiętego do krzesła.

Dwóch kolejnych instruktorów wyskoczyło zza biurka.

Carter odruchowo rzucił się do przodu, a wtedy Harris zrobił coś, czego Dan się nie spodziewał

– osłonił go własnym ciałem, strzelając w stronę przeciwnika.

– Kryję cię! – wrzasnął.

Dan poczuł, że to już nie jest rywal, tylko partner.

Dwóch napastników padło. Harris podbiegł do zakładnika, a Carter go asekurował.

– Czysto!

– krzyknął.

Syrena znów zawyła, kończąc ćwiczenie.

Instruktorzy spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

Na zewnątrz, gdy inni rekruci rozchodzili się, Harris klepnął Cartera w ramię.

– Nieźle ci idzie, stary.

Dan uśmiechnął się lekko.

– Tobie też.

Od tego dnia nikt w akademii nie miał wątpliwości

– Carter i Harris to duet, z którym lepiej nie zadzierać.

Akademia – Zakończenie Szkolenia

Minęły miesiące ciężkich treningów, testów i egzaminów.

Dla wielu rekrutów była to droga przez piekło

– niektórzy odpadli, nie wytrzymując presji.

Ale Carter i Harris trzymali się do końca. Razem.

Na placu apelowym ustawiono szeregi młodych ludzi w mundurach.

Wysoki komendant akademii wyszedł na mównicę.

– Dziś stajecie się policjantami.

To nie jest tylko zawód.

To życie w służbie innym.

Czasem życie na krawędzi.

– zawiesił głos i spojrzał po twarzach absolwentów.

– Gratuluję wam.

Ale pamiętajcie: od dziś każdy z was odpowiada nie tylko za siebie.

Nazwiska padały kolejno, a każdy rekrut odbierał dyplom i odznakę.

– Dan Carter! – rozległo się wreszcie.

Dan podszedł, wyprostowany, pewny kroku.

Wziął odznakę do ręki.

Był to dla niego moment, na który czekał od lat

– spełnienie obietnicy złożonej ojcu.

– Mike Harris!

– padło zaraz po nim.

Dwaj młodzi policjanci spojrzeli na siebie, a w ich oczach nie było już rywalizacji, tylko szacunek.

Wieczorem siedzieli razem w barze niedaleko akademii.

Dookoła świętowali inni absolwenci, a oni stuknęli się kufłami piwa.

– To dopiero początek, Carter

– powiedział Harris.

– Teraz zaczyna się prawdziwe życie.

Dan uśmiechnął się lekko.

– I pewnie nie raz będziemy się zastanawiać, czy dobrze wybraliśmy.

– Ale wybraliśmy

– dodał Harris, unosząc kufel.

– Za mundur.

– Za mundur

– powtórzył Dan, stukając się z nim.

Kilka dni później Carter odebrał przydział – posterunek w Waszyngtonie, wydział patrolowy.

Pierwsze miesiące miały być pełne rutyny: interwencje, nocne dyżury, wezwania do kłótni i drobnych kradzieży.

Ale Dan wiedział, że to tylko początek większej drogi.

Gdzieś w środku czuł, że jego nazwisko jeszcze kiedyś naprawdę coś znaczy.

Rozdział 2 – Przydziały

Kilka dni po zakończeniu akademii nadszedł moment, na który wszyscy czekali – przydziały.

Rekruci stali w sali odpraw, gdy komendant rozdawał teczeki.

– Carter, Harris

– odezwał się donośnym głosem.

– Obaj traficie do komisariatu w Waszyngtonie, Dystrykt Columbia.

Dan uniósł brew.

Harris spojrział na niego zaskoczony.

– Serio?

Razem?

– mruknął.

Komendant uśmiechnął się krzywo.

– Skoro w akademii nie mogliście się od siebie odczepić, niech i na służbie będziecie w jednej drużynie.

Rekruci parsknęli śmiechem, ale Carter poczuł coś więcej niż rozbawienie.

Ten komisariat nie był dla niego zwykłym miejscem.

To był ten sam, w którym służył jego ojciec.

Pierwszy dzień.

Budynek komisariatu stał dumnie przy ruchliwej ulicy, nieco obdrapany, ale wciąż pełen życia.

Dan zatrzymał się przed wejściem, patrząc na znajomą fasadę.

– Twój ojciec naprawdę tu pracował?

– zapytał Harris.

– Tak

– odpowiedział Carter cicho.

– *Prawie całe życie.*

Weszli do środka.

W środku panował kontrolowany chaos: telefony dzwoniły, oficerowie krążyli z papierami, ktoś prowadził aresztanta korytarzem.

Za biurkiem przy ladzie siedział starszy sierżant, który podniósł wzrok znad dokumentów.

– *Carter?* – *mruknął, jakby nazwisko przywołało wspomnienia.*

– *Ty jesteś synem Franka Cartera?*

Dan skinął głową.

– *Tak, sir.*

Na twarzy sierżanta pojawił się cień uśmiechu.

– *Dobry glina był z twojego ojca.*

Twardy, uczciwy.

– *westchnął.*

– *Masz duże buty do wypełnienia, chłopcze.*

Carter wyprostował się.

– *Postaram się.*

Harris szturchnął go łokciem, mrucząc pod nosem:

– *No to teraz już wiesz, że będziesz żył w cieniu legendy.*

Dan odpowiedział tylko krótkim spojrzeniem.

Wiedział, że Harris ma rację

– *i że od dziś każdy jego krok będzie porównywany do kroków ojca.*

Carter wszedł do pokoju odpraw, gdzie nowi mieli spotkać swoich mentorów.

– *Carter!* – *usłyszał głos zza pleców.*

Odwrócił się i zobaczył kobietę około czterdziestki, z krótkimi ciemnymi włosami i pewnym spojrzeniem.

– Jestem detektyw Sarah Collins.

Znałam twojego ojca.

Dan wyprostował się natychmiast.

– Naprawdę?

– Tak. Pracowaliśmy razem kilka lat.

Dobry człowiek.

Twardy, uczciwy.

– spojrzała na niego uważnie.

– Pytanie, czy ty też taki będziesz.

Dan poczuł znajome ukłucie presji.

– Postaram się, Pani detektyw.

Kilka metrów dalej Harris spotkał swojego partnera

– wysokiego, trochę zblazowanego gliniarza w średnim wieku.

– Mike Harris?

– mruknął, wyciągając rękę.

– Rick Donovan.

Będziemy razem patrolować.

– Jasne

– odpowiedział Harris, ściskając dłoń.

– I pamiętaj

– dodał Donovan z lekkim uśmiechem

– tu nie chodzi o to, żeby być bohaterem.

Tu chodzi o to, żeby wrócić z każdej zmiany w jednym kawałku.

Dan i Mike wymienili spojrzenia z drugiego końca sali.

– No to mamy swoje pary

– rzucił Harris półgłosem.

– Zobaczymy, kto szybciej zrobi wrażenie.

Carter tylko pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

Wiedział, że rywalizacja jeszcze się nie skończyła.

Collins oprowadziła Dana po komisariacie.

Pokazała mu pokoje przesłuchań, dyżurkę, archiwum, miejsce, gdzie składało się raporty.

Wskazała też ich biurko

– niewielkie, ale własne.

– Tu będziesz spędzał sporo czasu

– rzuciła półgłosem.

– Zapamiętaj, Carter: papierologia w tej robocie jest tak samo ważna jak broń.

Potem zaprowadziła go do szatni.

– To twoja szafka.

Pilnuj jej, bo tu nic nie ginie... chyba że zostawisz otwarte.

– Uśmiechnęła się krzywo.

Na koniec razem wyszli na parking, gdzie czekał radiowóz.

– No dobra, Carter.

Czas na pierwszy patrol.

Zobaczmy, co potrafisz.

Kolejny Dzień

Collins podjechała po niego wcześniej rano.

– Wstawaj, Carter

– zawołała z auta, gdy wychodził z kamienicy.

– Policja nie śpi, nawet jeśli ty byś chciał.

Dan uśmiechnął się lekko, wsiadając na miejsce pasażera.

– Gotów.

– Dobrze, bo dziś nie będziemy tylko jeździć i patrzeć przez okno.

– Collins odpaliła silnik i ruszyli w stronę centrum.

– Miasto ma zwyczaj testować świeżaków od razu.

Carter spojrział w okno, obserwując ulice Waszyngtonu.

Czuł, że każdy kolejny dzień będzie sprawdzianem

– nie tylko jego umiejętności, ale i tego, czy naprawdę jest gotów nosić odznakę, którą odebrał w akademii.

Radiowóz

– Proszę pani, dokąd jedziemy najpierw?

– zapytał Carter, siedząc sztywno na miejscu pasażera.

Collins spojrzała na niego spod ciemnych okularów.

– Jak mnie nazwałeś?

– Proszę pani

– odpowiedział poważnie.

Zacisnęła usta i przez chwilę milczała, aż w końcu zatrzymała auto na poboczu.

– Słuchaj, Carter.

Wiem, że jesteś świeżakiem, że miałeś ojca policjanta i wojsko za sobą.

Ale tu nie jesteśmy na defiladzie.

– Odwróciła się do niego.

– Masz mówić do mnie Sarah.

Dan uniósł brew.

– Ale... pani jest moim starszym partnerem.

– Dokładnie

– przerwała mu ostro.

– I właśnie dlatego masz mówić po imieniu.

Bo na ulicy nie ma czasu na „proszę pani”.

W akcji krzykniesz „proszę pani, uwaga!”, a ja już dawno będę leżała z kulą w plecach.

Carter zamilkł, czując, że dostał lekcję, której nie było w akademii.

– Spróbuj jeszcze raz – dodała Collins.

– Dokąd jedziemy, Sarah? – powiedział cicho, trochę niepewnie.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– No, widzisz? Od razu lepiej.

Nim zdążyła dodać coś więcej, z radia w konsoli huknęło zgłoszenie:

– Jednostka trzy–cztery, zgłóście się.

Awantura w barze przy 7. Ulicy.

Możliwa bójka z użyciem noża.

Collins sięgnęła po mikrofon.

– Jednostka trzy–cztery, przyjęłam.

Jesteśmy w drodze.

Spojrzała na Cartera.

– No dobra, świeżaku.

Lekcja kultury się kończy.

Teraz czas na prawdziwą lekcję życia.

Wcisnęła syreny, a radiowóz wyrwał do przodu, przeciskając się przez ruch uliczny.

Carter poczuł znajome napięcie w karku

– to samo, które towarzyszyło mu w wojsku.

Ale teraz to nie była misja w Iraku ani patrol w bazie.

To była jego własna ulica.

Jego miasto.

Jego pierwszy prawdziwy test.

Radiowóz zaparkował pod neonem baru.

Collins zgasila światła syreny, odwróciła się do Dana i mruknęła z takim półuśmiechem, że wiedział, iż to nie komplement:

— No to, synku, mam nadzieję, że nie pozwolisz mnie zabić.

Dan poczuł krótki przyływ adrenaliny i... rozluźnił się.

To była jej wersja „powodzenia”.

Skinął głowę.

— Nie pozwolę, Sarah.

Weszli razem, drzwi skrzypnęły i otworzyły się i uderzył ich zapach starego piwa, dymu i tłumu.

Wnętrze było rozświetlone mdłym światłem, mężczyźni przy barze, kilka stolików, muzyka przesterowana z jukeboxa.

Ale atmosfera była napięta

— głos w rogu przerodził się w krzyk, talerz leciał na podłogę.

Collins ruszyła pierwsza, pewnym krokiem.

Carter tuż za nią, ręka blisko kabury.

Za barem jakiś facet próbował rozdzielić dwóch mężczyzn.

Drugi trzymał coś błyszczącego przy pasie

— noż.

— Policja! Rozłączcie się!

— wrzasnęła Collins, ale ktoś w tłumie zasłonił im widok na napastnika.

Carter przesunął się w lewo, by zająć dogodne stanowisko.

Collins szukała wzrokiem właściciela noża.

Sytuacja eskalowała się w sekundach.

Napastnik, spłoszony, cofnął się i machnął nożem w stronę przeciwnika.

Collins błyskawicznie zasłoniła cywila swoim ciałem, krzycząc:

— Drugi podłoga! Teraz!

Dan ruszył

— dokładnie tak, jak ćwiczyli.

Nie strzelił.

Nie trzeba było.

Zamiast tego wyskoczył z flanką, chwycił rękę napastnika, szarpnął, użył dźwigni, która w akademii wydawała się brutalna, a teraz zadziałała.

Nóż wypadł na podłogę, ktoś go przydeptał.

Collins natychmiast wpięła kajdanki i przytrzymała napastnika, a Carter zabezpieczył świadków, nakazując ludziom usiąść i trzymać ręce na widoku.

Głos miał spokojny, choć w środku buzował.

— Kto wezwał pomoc?

— zapytała Collins.

— Ty?

Barman skinął głową, głos się trząsł.

Carter zauważył pod stołem leżącą paczkę, rozsypane banknoty

— motyw bójki ewidentnie związany z hazardem.

Zgromadzili kilka zeznań, oddzielili strony konfliktu.

Kiedy radiowóz medyczny zabierał rannego

— skończyło się na zadrapaniu i strachu

— Collins zgrzytnęła z uznaniem:

— Dobra robota, Carter.

Trzymałeś zimną krew.

On odpowiedział krótkim skinieniem.

Wiedział, że zrobił kilka rzeczy dobrze i jedną źle

— przytrzymał jednego z gapiów zbyt mocno, dostał później od Collins szybkie:

„Lekkiej ręki, nie jesteś katem”

— ale to była lekcja, nie wyrzut.

Po wszystkim Collins wytłumaczyła im procedury

— przesłuchania, zabezpieczanie dowodów, raporty.

Carter notował słowa, ale w głowie miał obraz: tłum, nóż, szybkie decyzje, Collins jako pierwsza tarcza.

Na zewnątrz, kiedy noc już była głębsza i ulica trochę cichsza, Collins uderzyła go lekko w ramię.

— *Mówiłam, mów mi Sarah*

— *rzuciła.*

— *Dobre wejście.*

Pamiętaj tylko: nie rób z ludzi więźniów.

Czasem trzeba ich uspokoić, nie wrzucać na ziemię.

— *Rozumiem*

— *odrzekł Dan.*

— *Dzięki za krycie.*

— *Odrobisz lekcję z papierologii*

— *uśmiechnęła się kątem ust*

— *i mniej „proszę pani”.*

Carter uśmiechnął się po raz pierwszy szczerze tego dnia.

Ich duet zaczął działać.

Następnego dnia rano wstał z myślą, że to był dopiero prawdziwy początek

— *pierwszy patrol, pierwsza nocna akcja.*

I już wiedział, że to będzie ciężka robota, ale robił się do niej stworzony.

Po służbie

Gdy zakończyli raporty i zamknęli sprawę z baru, Collins pożegnała się krótko:

– Do zobaczenia jutro, Carter.

– Do zobaczenia, Sarah

– odpowiedział, a to słowo „Sarah” nadal brzmiało dla niego dziwnie, choć zaczynał się przyzwyczajać.

Wyszedł przed komisariat, wsiadł do swojego starego auta i zamiast wracać prosto do mieszkania, skręcił w stronę małego pubu na rogu.

Było to miejsce, w którym często spotykali się policjanci po służbie

– trochę, by odreagować, trochę, by zachować resztki normalności.

Usiadł w rogu, przy małym stoliku.

Zamówił piwo i przez chwilę patrzył w puste szkło, w myślach wracając do wieczornej akcji.

Czuł jeszcze w palcach opór noża, który wyrwał napastnikowi.

Nagle poczuł lekkie klepnięcie w ramię.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto przyszedł tu świętować – usłyszał kobiecy głos.

Odwrócił się i... aż zmrużył oczy.

Stała nad nim kobieta w ciemnych jeansach i skórzanej kurtce.

Twarz rozluźniona, lekki uśmiech.

Zajęło mu kilka sekund, zanim skojarzył.

– Collins?

– zapytał zdziwiony.

Ona roześmiała się lekko.

– Prywatnie mówimy Sarah, pamiętasz?

– odparła i usiadła naprzeciwko niego.

– Widzisz?

W cywilu nie wyglądam aż tak groźnie.

Dan uśmiechnął się półgębkiem.

– Prawdę mówiąc, na początku cię nie poznałem.

– I bardzo dobrze

– żartowała.

– To znaczy, że mundur jeszcze nie zdominował mojego życia.

Na chwilę zapadła cisza.

Carter sączył piwo, a Collins zamówiła swoje.

Pub rozbrzmiewał śmiechem innych policjantów przy barze, ktoś opowiadał głośną historię z patrolu.

– Jak na pierwszy dzień, radzisz sobie nieźle

– powiedziała w końcu Sarah, patrząc mu prosto w oczy.

– Ale pamiętaj, Carter... to dopiero początek.

Dan skinął głową.

– Wiem.

I po raz pierwszy od dawna poczuł, że naprawdę jest częścią tego świata.

Sarah odstawiła kufel i spojrzała na niego poważniej.

– Twój ojciec miałby powody być dumny.

Ale pamiętaj, Dan... tutaj każdy buduje własne imię.

Carter skinął głową, czując ciężar i ulgę jednocześnie.

– Wiem.

I chcę, żeby moje imię coś znaczyło.

Collins uśmiechnęła się lekko.

– To dobrze. Zobaczmy, jak długo wytrzymasz w tym świecie.

Kilka miesięcy później

Komendant zebrał Collins i kilku oficerów w sali odpraw.

– Collins, gratulacje.

Od dziś oficjalnie przechodzisz do wydziału zabójstw.

Na sali rozległy się gratulacje, ale Collins uniosła rękę.

– Mam warunek.

Chcę, żeby moim partnerem został Carter.

Komendant uniósł brew.

– Carter?

Ten świeżak?

Nie ma doświadczenia w dochodzeniówce.

Collins oparła dłonie na stole i spojrzała mu prosto w oczy.

– Doświadczenia nabierze.

Ale ma coś, czego nie nauczy żadna akademia.

Był w wojsku.

Ma dyscyplinę, instynkt i opanowanie.

– zawiesiła głos.

– Był nawet na misji zagranicznej.

Doświadczenia to on może mieć więcej niż my wszyscy razem wzięci.

Komendant zmrużył oczy, bębniąc palcami o blat.

– Wojsko to nie to samo co wydział zabójstw.

– Może i nie

– odparła spokojnie Collins.

– Ale Carter już pokazał, że potrafi działać pod presją.

I biorę za niego odpowiedzialność.

Po chwili ciszy komendant westchnął ciężko.

– Dobrze.

Masz swojego partnera.

Ale jeśli zawali, odpowiadasz razem z nim.

– Nie zawali

– powiedziała pewnie Sarah.

Komisariat – biurko Cartera

Carter siedział nad papierami, stukając w klawiaturę komputera.

Obok niego stało drugie biurko, które do tej pory zajmowała Collins.

Wróciła właśnie od komendanta i usiadła ciężko na krześle, opierając się o blat.

– No i stało się

– rzuciła bez większych emocji, choć w oczach błyszczała duma.

– Dostałam awans. Idę do wydziału zabójstw.

Dan uniósł głowę, spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

– Gratulacje, Sarah.

Naprawdę zasłużyłaś.

– Wyciągnął dłoń, a ona uścisnęła ją mocno.

Carter westchnął, odchylił się na krześle i popatrzył w sufit.

– Ciekawe, kto teraz będzie moim partnerem...

Collins zaśmiała się krótko, odchylając się na krześle.

– Jak to kto? Ja przecież jestem.

Dan zmarszczył brwi.

– Ty?

Ale przecież... to nie tak działa.

– Carter

– przerwała mu ostro.

– Już powiedziałam komendantowi, że biorę cię ze sobą.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Ufasz mi aż tak bardzo?

Sarah oparła łokcie na blacie i nachyliła się bliżej.

– *Posłuchaj, chłopcze.*

Postawiłam wszystko na ciebie.

Jeśli coś spierdolisz, to polecimy razem na zieloną trawkę.

Dan uśmiechnął się krzywo, kręcąc głową.

– *To chyba najlepsza motywacja, jaką mogłem dostać.*

– *I o to chodzi*

– *odparła z tym swoim charakterystycznym półuśmiechem.*

– *Witaj w wydziale zabójstw, partnerze.*

Collins opadła na krzesło naprzeciwko jego monitora i przez chwilę milczała, patrząc na papiery rozrzucone na biurku.

— *Wiesz, Dan*

— *zaczęła cicho*

— *nie wzięłam cię dlatego, że lubię ryzyko.*

Wzięłam cię, bo widzę, że myślisz i udowodniłeś czynami co potrafisz a nie gadaniem.

I to się liczy, jak trzeba podejmować decyzję w sekundę.

Dan odłożył długopis, spojrzał na nią szczerze.

— *A jeśli zawalę?*

— *zapytał prosto.*

— *Jeśli coś spieprzę i pociągnę Cię za sobą na dno?*

Sarah uśmiechnęła się krzywo.

— *To będzie moje ryzyko*

— *odpowiedziała.*

— *Ale wiesz co?*

Wolałabym iść na zieloną trawkę za kogoś, kto ma jaja, niż za kogoś, kto udaje bohatera.

Tylko pamiętaj: ucz się i słuchaj.

On kiwnął głową.

— *Słucham. Uczę się. I nie dam ci powodów do zmartwień.*

Collins wstała, poprawiła notes na biurku i rzuciła jeszcze na odchodne:

— *Dobra. Nie będę cię jeszcze chrzczyć mianem „detektywa”, ale od jutra masz dostęp do spraw.*

To nie patrole — to inna zajawka.

Dan poczuł, że serce podskoczyło.

Mieszanka strachu i adrenaliny, ale też ulgi

— *ktoś w końcu mu zaufał i docenił.*

Pierwsze wezwanie – Zabójstwo

Po kilku dniach dostali swoje pierwsze wezwanie do zabójstwa.

Na rogu ulicy znaleziono ciało mężczyzny z kilkoma ranami postrzałowymi.

Mundurowi zabezpieczyli teren, taśmy policyjne odcinały już fragment chodnika i wejście do bocznej alejki.

Migające światła radiowozów rozświetlały deszczową noc, a w powietrzu unosił się ciężki zapach wilgoci i prochu.

Jak się okazało, to miejsce było dobrze znane policji

– teren gangów i handlarzy narkotykami.

Strzelanina nikogo tu nie dziwiła, ale tym razem skończyło się śmiercią.

Carter i Collins przeszli przez taśmę zabezpieczającą.

Na miejscu pracował już technik kryminalistyczny, fotografując ciało i oznaczając łuski kredą.

– Ofiara, mężczyzna około trzydziestu lat

– rzucił w stronę Collins.

– Kilka ran postrzałowych w klatce piersiowej.

Brak dokumentów.

Sarah skinęła głową i podeszła bliżej.

Carter zatrzymał się obok, patrząc na ciało, na kałużę krwi wsiąkającą w asfalt.

– Gangowe porachunki?

– spytał półgłosem.

– Na to wygląda

– odpowiedziała Sarah.

– Ale nie zakładaj niczego z góry.

W tej robocie każdy szczegół ma znaczenie.

Rozejrzeli się po okolicy

– kilka zamkniętych okien na piętrze, ciemne zaułki, stary kontener przy ścianie.

Cisza, jakby całe osiedle nagle udawało, że nic nie widziało.

Collins spojrzała na Cartera.

– No to, partnerze... witaj w wydziale zabójstw.

Collins rozejrzała się po kamienicach otaczających miejsce zbrodni.

Zasłonięte zasłony, uchylone drzwi, twarze w cieniu, które szybko znikaly, kiedy spojrzało się w ich stronę.

– To taka miejscówka

– mruknęła, zwracając się do Cartera.

– Tutaj nikt nie powie nic głośno.

Strach jest większy niż poczucie obowiązku.

Dan skinął głową.

Doskonale znał ten wzrok: ludzie widzieli, ale woleli udawać, że są ślepi.

Sarah wskazała ręką w stronę dwóch mundurowych.

– Wy.

Rozpytajcie świadków, sprawdźcie każdą klatkę schodową.

I niech ktoś od razu ściągnie nagrania z kamer z tej ulicy.

– Jasne, detektyw

– odpowiedział jeden z młodych funkcjonariuszy i ruszyli do roboty.

Collins przykucnęła jeszcze przy ciebie, przyglądając się tatuażowi na przedramieniu.

– To wygląda na znak gangu, ale zanim coś założymy...

– spojrzała na Cartera

– jedziemy do narkotykowych.

Oni mają swoje kontakty, wiedzą, kto się kręci po tej okolicy.

Może już go widzieli.

Carter podniósł się z kolan i odgarnął taśmę, by wyjść z terenu.

– Myślisz, że to porachunki?

– To albo nieudana dilerka

– odpowiedziała Sarah, idąc obok niego w stronę radiowozu.

– W obu przypadkach ktoś będzie chciał uciszyć sprawę szybciej, niż my ją rozwiążemy.

Dan otworzył drzwi po stronie pasażera.

– To co, zdjęcie i wizyta u chłopaków z wydziału narkotykowego?

Collins uśmiechnęła się krzywo.

– Dokładnie.

Zobaczymy, czy nasz trup był kimś, czy tylko pionkiem, który źle postawił stopę.

Radiowóz odpalił, a ich pierwsza sprawa zaczęła nabierać kształtu.

Carter i Collins wracają na komisariat, ale zamiast od razu iść do siebie, skręcają na klatce i kierują się piętro wyżej

– do wydziału narkotykowego.

Wchodzą między biurka, gdzie panuje wieczny rozgardiasz: kubki po kawie, papiery, zapach tytoniu.

Podchodzą do jednego z policjantów, który akurat siedzi przy komputerze i coś wklepuje.

***Collins** kładzie na biurku zdjęcie denata.*

– Kojarzysz typa?

Facet zerka na zdjęcie, marszczy brwi.

– Jasne.

Członek jednego z lokalnych gangów, czasem bawił się w dilerkę.

Nic wielkiego, ale swoje za uszami miał.

Podnosi wzrok.

– A czemu pytacie?

Carter opiera się o kant biurka.

– Przy nim znaleźliśmy woreczki z narkotykami.

Policjant prychna pod nosem.

– No to wszystko jasne.

Chłopak musiał nadepnąć komuś na odcisk.

Tylko... uważajcie.

Ci ludzie nie lubią, kiedy ktoś grzebie w ich sprawach.

Carter i Collins wymieniają spojrzenia, po czym bez słowa zbierają zdjęcie i ruszają w stronę wyjścia.

Carter i Collins wracają na swoje piętro.

Wchodzą do pokoju, a na biurku Cartera czeka już świeży raport od mundurowych.

Collins podnosi plik kartek, przelatuje wzrokiem.

– „Świadkowie... małomówni, wystraszeni.

Większość zasłania się niewiedzą.”

– mruknęła.

– Typowe dla tej dzielnicy.

Carter przejmuje raport, przewraca stronę.

– Ale udało się ustalić nazwisko.

– zatrzymuje się i czyta na głos:

– „Jason Miller. Lat trzydzieści dwa.”

Oboje wymieniają spojrzenia.

Collins:

– Brzmi znajomo.

Sprawdź go w bazie.

Carter siada przy komputerze, wstukuje dane.

Po chwili na monitorze pojawia się policyjna kartoteka: zdjęcie, lista zatrzymań

– assault, possession, drug trafficking

– oraz wzmianka o powiązaniach z gangiem z południowej części miasta.

Carter (półgłosem):

– Niezła kartoteka.

Facet nie był świeżakiem w tym świecie.

Collins kiwa głową, opierając się o jego biurko.

– I właśnie dlatego ktoś postanowił zamknąć mu usta.

W pokoju zapada krótka cisza, przerywana tylko stukotem klawiatury.

POLICE REPORT – METROPOLITAN POLICE DEPARTMENT, WASHINGTON D.C.

Name: Jason Miller

Age: 32

Date of Birth: 14.07.1993

Place of Birth: Washington D.C.

Last Known Address: 1450 S Street SE, Washington D.C. (dzielnica Anacostia)

Occupation: brak stałego zatrudnienia

Known Alias: „J-Mill”

Criminal Record:

- 2013 – Arrested for assault (udział w bójce ulicznej, brak wyroku skazującego).
- 2015 – Drug possession (kokaina – 5 gramów, wyrok w zawieszeniu).
- 2017 – Possession with intent to distribute (narkotyki, sprawa umorzona z braku dowodów).
- 2019 – Arrested for burglary (udział nieudowodniony, zwolniony po 48h).
- 2021 – Drug trafficking (śledztwo w toku, brak aktu oskarżenia).
- 2023 – Weapons possession (nielegalna broń, sprawa w toku).

Gang Affiliations:

Powiązania z lokalnym gangiem South Side Kings – obserwowany wielokrotnie w ich towarzystwie.

Brak oficjalnych dowodów potwierdzających przynależność, jednak w środowisku znany jako osoba pracująca dla gangu.

Physical Description:

- Height: 6'0" (183 cm)
- Weight: 185 lbs (84 kg)
- Hair: Brown
- Eyes: Blue
- Tattoos: „SSK” (skrót gangu) na lewym przedramieniu

Remarks:

Subiekt wielokrotnie widziany w pobliżu transakcji narkotykowych, jednak rzadko przyłapany na gorącym uczynku.

W środowisku uchodził za „małomównego”, unikał rzucania się w oczy.

Carter odsunął krzesło i stukając w klawiaturę, przewijał kolejne strony raportu.

Na monitorze świeciła kartoteka Jasona Millera.

Carter (czyta półgłosem):

– *Jason Miller, lat trzydzieści dwa.*

Kilka zatrzymań, assault, possession, trafficking.

Powiązany z South Side Kings.

Zatrzymał się przy zdjęciu z policyjnego dossier

– *Miller patrzył w obiektyw z chłodnym, pustym wzrokiem.*

– *Typowy cwaniak z południa.*

Collins oparła się biodrem o jego biurko, skrzyżowała ręce.

– *To nie był przypadkowy koleś.*

On żył w tym bagnie od dawna.

Carter przewinął niżej.

– *Adres*

– *Anacostia. Gangowe terytorium.*

W sumie pasuje.

– *spojrzał na Collins.*

– *Ale dlaczego ktoś zastrzelił go akurat tam, gdzie znaleziono te woreczki?*

Collins wzięła raport z jego rąk i zerknęła jeszcze raz.

– *Bo coś poszło nie tak.*

Albo dil, albo porachunki.

Wiesz, jak to jest

– jak ktoś zawala interes, to płaci.

Carter:

– Albo ktoś chciał go uciszyć, zanim zaczął gadać.

Na chwilę zapadła cisza, w pokoju słychać było tylko szum wentylatora i stukanie klawiatur kilku innych detektywów.

Collins odłożyła raport na blat.

– Posłuchaj, Dan.

Trzeba sprawdzić dwie rzeczy.

Po pierwsze – monitoring z miejsca zdarzenia.

Po drugie – z kim Miller ostatnio się kontaktował.

Może ktoś z jego „kumpli” zezna więcej, jak dobrze przyciśniemy.

Carter skinął głową, zamknął kartotekę i wyłączył monitor.

– W porządku.

Zaczynamy od kamer.

Collins uniosła brew z tym swoim charakterystycznym półuśmiechem.

– Dobrze gadasz, partnerze.

Carter siedział przy biurku, wpatrzony w monitor.

Przewijał kolejne linijki kartoteki Millera

– daty zatrzymań, zarzuty, znane pseudonimy.

Carter (półgłosem):

– Jason Miller ... „J-Mill” ... gang, narkotyki, broń.

Facet całe życie balansował na krawędzi.

Tymczasem **Collins** miała już laptopa podpiętego do pendrive’a, który dostarczyli mundurowi.

– Mam nagrania z kamer z tej ulicy – rzuciła, klikając kolejne okienka.

– Zobaczmy, czy nasz Miller miał towarzystwo w ostatnich minutach życia.

Na ekranie pojawił się obraz z nocnej kamery: rozmazane sylwetki na wilgotnej ulicy, refleksy świateł samochodów.

Collins przewijała ujęcie, aż zatrzymała się na fragmencie.

– Tutaj

– wskazała palcem.

– To on.

Jason Miller, idzie w stronę zaulka.

Carter oderwał wzrok od kartoteki i spojrzał na ekran.

– Sam?

Collins cofnęła nagranie, potem zwolniła tempo.

– Niezupełnie.

– Obok Millera pojawiła się druga postać, zakapturzona, wysoka, ubrana w ciemną kurtkę.

Twarz rozmazana, kamera nie złapała szczegółów.

– Wygląda, jakby się znali.

Nie kłóć się, idą razem.

Carter zmarszczył brwi.

– A potem ktoś w tym zaulku pociągnął za spust.

Collins zapauzowała nagranie.

– To oznacza jedno

– Miller nie wpadł w zasadzkę przypadkiem.

Spotkał się z kimś, kogo znał.

Carter spojrzał na nią poważnie.

– Czyli nasz „J-Mill” miał spotkanie, które skończyło się kulką w piersi.

Collins zamknęła laptopa i wzięła głęboki wdech.

– Trzeba znaleźć tego drugiego gościa.

I to szybko.

W biurze panowała cisza przerywana stukaniem klawiatur i szumem wentylatorów komputerów.

Collins nagle wyciągnęła z kieszeni dzwoniący telefon. Spojrzała na ekran, zmarszczyła brwi.

– Muszę to odebrać

– rzuciła krótko do Cartera.

– Zaraz wracam.

Zniknęła w korytarzu, a Carter został sam z monitorem.

Otworzył kolejne nagranie z kamery ustawionej przy bocznej uliczce.

Obraz był ziarnisty, nocna pora robiła swoje.

Nacisnął pauzę i pochylił się bliżej.

Miller i tajemniczy towarzysz wchodzili w ciemniejszy zaułek.

Kilkanaście sekund później, na rogu, kamera złapała jeszcze coś innego

– tylne światła samochodu.

Carter przewinął kilka razy, zatrzymując obraz klatka po klatce.

Na chwilę widać było tablicę rejestracyjną, ale tylko częściowo, bo zasłaniało ją błysk światła.

Carter (mrucząc pod nosem):

– 7K3... coś tam... cholera, brakuje końcówki.

Przybliżył obraz, ale piksele tylko bardziej się rozmasały.

Widać było, że to sedan, ciemny, może czarny Ford albo Chevrolet.

Zapisał numer w notatniku i dodał opis.

Collins wróciła do pokoju, wsunęła telefon do kieszeni i podeszła do biurka.

– No, Carter? Co masz? – zapytała, jakby nic się nie stało.

Dan odwrócił monitor w jej stronę.

– Fragment tablicy.

7K3 i ciemny sedan, najpewniej Ford albo Chevy.

Wystarczy, żeby mundurowi zaczęli kopać.

Collins skinęła głowę.

– Dobry trop.

Daj im to, niech sprawdzą w systemie.

Carter zabrał notatki i wyszedł na korytarz.

Kilka minut później wrócił, a Collins siedziała przy swoim biurku, zapatrzona gdzieś w przestrzeń, jakby wciąż miała głowę gdzie indziej.

Dan odłożył długopis, spojrzał na nią, ale nic nie powiedział o telefonie.

Wiedział, że jeśli będzie chciała, sama zacznie temat.

Collins westchnęła, oparła łokcie na blacie i w końcu spojrzała mu w oczy.

– Dan... skończmy na dziś.

Mam dość.

– Zrobiła krótką pauzę, po czym dodała z lekkim, zmęczonym uśmiechem:

– Chodź się napić.

Carter uśmiechnął się półgębkiem.

– W porządku, partnerko. Zasłużyliśmy.

Po wyjściu z komisariatu wieczorne powietrze było ciężkie, przesycone zapachem miasta po deszczu.

Bar znajdował się niedaleko

– mały, przyciemniony lokal, do którego często zaglądali gliniarze po służbie.

W środku przy barze siedziało już kilku mundurowych, ktoś grał w bilarda, jukebox brzęczał starą rockową balladą.

Carter i Collins wybrali stolik w rogu, z dala od hałasu.

Dan podszedł do baru, skinął na barmana:

– Dwa piwa.

– Stop

– przerwała mu Collins zza pleców.

– *Ja chcę coś mocniejszego.*

Barman uniósł brew.

– *Co podać?*

Collins nawet się nie zawahała:

– *Whiskey.*

Podwójną. Bez lodu.

Carter spojrzał na nią pytająco, ale nic nie powiedział.

Zamówił dla siebie piwo, po chwili wrócił z taczką.

Collins złapała szklankę w dłoń, uniosła ją i przez sekundę patrzyła w bursztynowy płyn, jakby próbowała tam znaleźć odpowiedzi.

– *To był długi dzień*

– *mruknęła, zanim upiła pierwszy łyk.*

Carter odstawił kufel na stół.

– *A to dopiero początek*

– *odparł spokojnie.*

Collins uśmiechnęła się półgębkiem, ale w oczach miała cień zmęczenia i czegoś, czego Dan jeszcze nie potrafił odczytać.

Bar był już prawie pusty.

Kilku gości przy ladzie dopijało ostatnie drinki, barman leniwie wycierał szklanki.

Z głośnika w tle popłynęła ballada, cicha, lekko melancholijna.

Światła przygasły, a dym papierosowy unosił się powoli pod sufitem.

Collins oparła się o blat stolika, whiskey w dłoni.

Patrzyła na Dana z tym swoim półuśmiechem, ale w oczach miała coś innego niż zwykle

– *miękość, której nigdy wcześniej u niej nie widział.*

– *Wiesz co, Carter?*

– *rzuciła nagle, lekko rozbawiona, może bardziej alkoholem niż sytuacją.*

– *Choć zatańczymy.*

Dan uniósł brew.

– *Tutaj?*

W barze?

– *A co?*

– *zaśmiała się.*

– *Prawie nikogo nie ma.*

I tak wszyscy mają nas w nosie.

Wstała, wyciągając do niego rękę.

Dan przez chwilę zawahał się, ale w końcu też się podniósł.

Po chwili tańczyli powoli na środku pustego parkietu, przy mdłym świetle i dźwiękach starej ballady.

Collins oparła głowę na jego ramieniu, cicho westchnęła.

– *Dawno tego nie robiłam...*

– *wymruczała.*

Dan czuł ciężar tego momentu, ale po chwili delikatnie odsunął ją od siebie.

– *Sarah, wystarczy na dziś.*

Dość alkoholu.

Odwiozę cię.

Spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem.

– *Ty zawsze taki poważny?*

– *Z kimś musi.*

Zaśmiała się cicho, ale bez złości.

Wyszli razem, zostawiając za sobą pusty bar i dźwięk kończącej się piosenki.

Taksówka dowiozła ich pod mieszkanie Collins.

Jej mieszkanie, było nieduże, proste, trochę surowe

– jakby żyła w nim bardziej „przy okazji”, niż na stałe.

Dan wszedł za nią, a ona od razu poszła do kuchni.

– Usiądź, zaraz wracam

– rzuciła, nalewając sobie wody.

Dan został w salonie.

Jego wzrok padł na komodę, a tam

– w ramce

– fotografia.

Podszedł bliżej.

Na zdjęciu stała Collins i Frank Carter senior.

Nie w mundurach, nie w pracy.

Ubrani po cywilnemu, blisko siebie.

Za blisko.

Uśmiechnięci tak, jakby ten kadr należał do innego świata, w którym nikt nie musiał grać roli.

Dan zamarł. Patrząc na zdjęcie, aż poczuł ścisk w gardle.

– Ładna pamiątka, co?

– rozległ się za nim głos.

Odwrócił się powoli. Collins stała w drzwiach z wodą w dłoni.

Jej twarz zmieniła się w sekundę

– uśmiech zniknął, oczy stwardniały.

– To mój ojciec

– powiedział cicho Dan.

Zapadła cisza.

Collins odłożyła szklankę na blat i wzięła głębszy wdech.

– Wiem.

Ale powinienes już iść, jest późno...

Dan chciał zapytać, chciał wyrzucić z siebie milion pytań, ale widział w jej oczach mur, którego tej nocy nie przebije.

Skinął tylko głowę.

– Jasne.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Gdy je zamykał, Collins oparła się o ścianę w salonie i upiła łyk wody, jakby próbowała splukać coś więcej niż tylko smak whiskey.

Następny dzień.

Kolejny poranek. Słońce przebijało się przez zasnute chmurami niebo nad Waszyngtonem.

Collins zatrzymała swój samochód pod kamienicą Cartera, klaksonem dając krótki sygnał.

Czekała chwilę.

Potem sięgnęła po telefon, ale zrezygnowała.

Nie było go przed wejściem.

– Dan pewnie zasnął

– mruknęła pod nosem i odjechała w stronę komisariatu.

Tymczasem Dan siedział już od dawna przy biurku w wydziale zabójstw.

Przed nim leżał stos papierów ze sprawy Millera, a monitor świecił nierozwiązanymi notatkami.

Pióro w dłoni, kubek z kawą

– wyglądał na skupionego, choć w głowie miał zupełnie inny obraz niż raporty.

Zdjęcie.

Collins i jego ojciec.

Ich uśmiechy.

Bliskość.

Próbował to odepchnąć, ale za każdym razem, gdy czytał nazwisko Miller w raporcie, widział twarz swojego ojca i zimny wzrok Collins, kiedy powiedziała: „Powinieneś już iść...”

Nagle poczuł czyjąś obecność. Podniósł głowę.

Przed biurkiem stała Sarah Collins.

W ręku trzymała teczkę, na twarzy miała neutralny, służbowy wyraz.

– Dzień dobry, partnerze

– rzuciła, jakby nic się wczoraj nie wydarzyło.

– *Widziałam twoje notatki w systemie.*

Już od świtu na służbie?

Dan odłożył długopis.

– *Nie mogłem spać.*

Collins zmrużyła oczy, jakby chciała coś wyczytać z jego twarzy, ale po chwili odchrząknęła i położyła teczkę na biurku.

– *Dobra, Carter.*

Mamy nowe dane w sprawie Millera.

– *Spojrzała na papiery, a potem na niego.*

– *Skupmy się.*

Dan skinął głową.

Ani słowa o barze.

Ani słowa o zdjęciu.

Ale między nimi zawisło coś, czego żadne raporty nie przykryją.

Na biurku leżałateczka z raportem mundurowych.

Kilka zdjęć z miejsca zbrodni, protokoły, wydruki z monitoringu.

Carter przewracał kartki, ale tak naprawdę nie czytał.

Wzrok co chwilę uciekał mu w stronę Collins, siedzącej naprzeciwko.

Ona była skupiona na notatkach, zakreślała coś długopisem, ale po chwili poczuła jego spojrzenie.

Podniosła wzrok, zmarszczyła brwi.

– *Dan... – odezwiała się ostrożnie.*

– *Raport nie ugryzie, jeśli będziesz się na niego gapił.*

Carter odłożył papiery na stół, już bez udawania, że nad nimi pracuje.

Spojrzał prosto na Collins.

– *Zacznę od początku*

– powiedział spokojnie, ale stanowczo.

– Wczoraj dostałaś jakiś telefon.

Nie pytałem, bo uznałem, że to nie moja sprawa.

Collins uniosła brew, ale milczała.

– Potem poszliśmy do baru

– ciągnął Dan.

– Wypiliśmy, zatańczyliśmy... i nagle wszystko posypało się jak układanka.

Zdjęcie u ciebie w domu, ty i mój ojciec.

To wszystko... nie daje mi spokoju.

Collins odłożyła długopis, skrzyżowała ręce na piersi.

Jej spojrzenie było twarde, ale widać było, że pod spodem kryje się coś więcej.

– Dan...

– zaczęła wolno.

– Wczoraj piłeś, ja piłam.

Emocje, wspomnienia, przypadkowe rzeczy... Nie mieszaj tego wszystkiego.

– Nie mieszam –

przerwał jej Carter.

– Po prostu chcę wiedzieć.

Ten telefon, zdjęcie...

To wszystko wygląda, jakbyś miała część mojego życia schowaną w szufladzie.

Collins patrzyła na niego jeszcze chwilę w milczeniu.

Wreszcie westchnęła, odchyliła się na krześle i spojrzała w sufit.

– Powiem ci tylko jedno

– odezwała się cicho, ale stanowczo.

– Twój ojciec był dobrym gliną.

Ale jego życie nie było tak proste, jak ci się wydaje.

I pewnego dnia prawda i tak do ciebie wróci.

Carter poczuł, że serce zaczęło bić mu szybciej.

– A ty?

– zapytał.

– Jaką rolę w tym wszystkim odgrywasz?

Collins zmrużyła oczy, a na jej twarzy pojawił się cień, którego nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Może kiedyś ci powiem, Dan

– odparła chłodno.

– Ale dzisiaj nie.

Zapadła niezręczna cisza...

Ciszę w pokoju przerwał nagle trzask drzwi.

Do środka wszedł detektyw z wydziału narkotykowego, z miną, jakby szukał ich od rana.

– Wczoraj pokazaliście mi pewne zdjęcie

– rzucił bez wstępów.

Collins od razu się wyprostowała.

– Tak, to to zdjęcie.

Co z nim nie tak?

Facet wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę, rzucił na biurko.

– Wiem, kim był ten człowiek.

Dan odsunął swoje papiery, sięgnął po notatkę.

Spojrzał, ale pozwolił Collins mówić pierwszej.

– Mów

– rzuciła krótko, opierając się o blat.

– To Jason Miller

– powiedział narkotykowy.

– Facet, którego znaleźliście, nie był tylko małym dilerem.

Pracowaliśmy nad nim od miesięcy.

Był powiązany z większą siatką. Mieliśmy go na oku, bo mógł być ogniwem do grubych ryb.

Carter i Collins wymienili szybkie spojrzenia.

– Czyli

– mruknął Dan

– ktoś nie chciał, żeby Miller zdążył coś powiedzieć.

– Dokładnie

– przytaknął tamten.

– I jeśli mam być szczery, to jego śmierć rozwalila nam pół sprawy.

Collins oparła dłonie o stół, patrząc w milczeniu na zdjęcie Millera.

– W takim razie

– powiedziała twardo

– mamy wspólny interes.

Detektyw z narkotykowych skończył mówić, rzucając na stół raport.

– Miller był naszym informatorem.

Miał wejścia, które mogły nam otworzyć drogę wyżej.

Teraz jest trupem.

Collins od razu chwyciła temat.

– To znaczy, że ktoś wiedział, że rozmawiacie z Millerem.

– Sięgnęła po jego kartki, wertując je szybko.

– Potrzebuję listy osób, z którymi ostatnio się kontaktował.

Telefony, spotkania, cokolwiek.

Carter spojrzał na nią z boku.

– Sarah...

– zaczął.

– Skup się na sprawie, Dan

– ucieła krótko, nawet na niego nie patrząc.

Narkotykowy kiwnął głową.

– Dobrze, przygotuję wam, co mamy.

Ale ostrzegam.

– jeśli ktoś sprzątnął Millera, to nie był przypadek.

Collins tylko przytaknęła, już w pełni wciągnięta w służbowy ton.

Dan milczał, ale widział więcej.

Wiedział, że Sarah **ucieka** w papiery, w śledztwo, w procedury

– byle tylko nie wracać do tego, co naprawdę wisiało między nimi od poprzedniej nocy.

Dan siedzi nad aktami, telefon zawibrował. Otworzył SMS-a.

„Wiesz, dlaczego Collins tak cię broni? Bo kiedyś sypiała z twoim ojcem. –K”

Zamarł. Poczuł, jakby ktoś wylał mu kubel lodu na kark.

Podniósł wzrok na Collins, która coś pisała w raporcie.

– Sarah...

– odezwał się chrapliwym głosem.

– To żart?

Podał jej telefon.

Collins spojrzała na ekran i nagle pobladła.

Zaciśnięte usta, sztywny ruch dłoni.

To był ten sam numer.

Ten sam, z którego odebrała wczoraj, zanim wszystko się potoczyło.

– Kurwa...

– wymknęło jej się półgłosem.

– Znasz ten numer

– powiedział Dan twardo.

Collins odsunęła telefon, po czym schowała twarz w dłoniach.

– Tak...

Znam.

To on.

– Kto?

– naciskał Carter.

Collins spojrzała mu prosto w oczy, ale nie odpowiedziała od razu.

Widać było, że walczy sama ze sobą.

– To mój były

– wydusiła w końcu.

– I teraz... teraz próbuje nas oboje wciągnąć w swoje gówno.

Carter jeszcze długo wpatrywał się w ekran telefonu, jakby próbował znaleźć między literami coś, co nada sens ostatnim wydarzeniom.

Collins milczała.

Stała przy oknie, z papierosem w dłoni, chociaż nie zapaliła.

W pokoju panowała cisza.

Ciężka, gęsta, taka, której nie przerywa się słowami.

Po chwili Collins odwróciła się do niego.

– Chodź, Carter. Mamy robotę.

Ruszyła do drzwi.

On jeszcze przez sekundę siedział nieruchomo, po czym westchnął i wstał.

Wiedział jedno — cokolwiek się dzieje, to dopiero się zaczyna.

Rozdział 3 – Linia Zaufania

Osiem godzin później siedzieli w nieoznakowanym sedanie, zaparkowanym naprzeciw starych magazynów przy Jefferson Street.

Na ulicy kręciło się kilku funkcjonariuszy z wydziału narkotykowego, przeszukujących teren, który jeszcze wczoraj tętnił życiem.

Carter przeglądał zdjęcia z raportu, Collins rozmawiała z detektywem odpowiedzialnym za sprawę.

Na pierwszy rzut oka – zwykła współpraca.

Ale między nimi wciąż wisiała niewidzialna granica.

– Mamy tu coś

– odezwał się funkcjonariusz z narkotykowych, wskazując na jedno ze zdjęć.

– Kamera przemysłowa zarejestrowała vana, który był tu na godzinę przed śmiercią Millera.

Częściowo widać rejestrację, zgadza się z tą, o której wspominał pan Carter.

Collins skinęła głową, notując coś w notesie.

Dan patrzył przez szybę, udając, że skupia się na szczegółach.

W rzeczywistości starał się nie analizować tonu jej głosu, nie szukać emocji, których nie powinien słyszeć.

To miała być tylko praca.

Ale zaufanie

– to jedno słowo

– nagle stało się najtrudniejsze w całym śledztwie.

Magazyny przy Jefferson Street pachniały wilgocią i pyłem.

Taśmy policyjne wiły się między kontenerami, a ludzie z narkotykowego krążyli jak pszczoły wokół ula.

– Kamera z bramy złapała vana godzinę przed zgonem

Millera – rzucił detektyw z narkotyków,

Ramirez. – Tablica zaczyna się od 7K3. Pasuje do waszego fragmentu.

Carter skinął. Collins wsunęła notatnik do kieszeni.

– Przeciagnijcie siatkę po DMV.

Sedany, vany, pickupy – wszystko z 7K3 w DC i okolicach – ucieła.

Ramirez już miał odpowiedzieć, kiedy młody funkcjonariusz wskazał brodą na ulicę.

– Szefowo... czarny sedan po drugiej.

Od pięciu minut stoi i patrzy.

Wszyscy zerknęli.

Auto siedziało nisko, przydymione szyby, światła zgaszone. Tylko silnik lekko drżał.

– Ruszamy

– powiedziała Collins.

Zrobili to bez krzyku i bez biegu: rozeszli się wachlarzem, jak na ćwiczeniach.

Carter poszedł od strony bocznej bramy, Collins bliżej ulicy, Ramirez został przy bramie z dwójką ludzi.

Drzwi sedana uchyliły się, ktoś w szarej bluzie i czapce z daszkiem wyskoczył jak sprężyna.

Spojrzał w ich stronę i od razu poszedł w nogi

– nie w ulicę, tylko w głąb terenu, między kontenery.

– Metro Police! Stać!

– wrzasnął Carter i puścił się za nim.

Gorące powietrze stało w miejscu.

Buty dźwięczały o blachę ramp, ktoś zahaczył barkiem o metalowy słupek, echo rozniosło się po pustych korytarzach magazynów.

Uciekinier przeciął aleję pod kątem. Carter skrócił, skacząc przez paletę.

Z przodu mignęła mu Collins – wzięła szeroki łuk, żeby odciąć drogę na Jefferson.

– Z prawej!

– krzyknęła.

Facet zawadził o łańcuch, zatoczył się, ale utrzymał tempo.

Wypadł na wąski przesmyk.

Carter zobaczył, jak coś wylatuje mu z kieszeni i odbija się od betonu.

– Zguba!

– rzucił przez zęby i minął błyskający pod słońce przedmiot.

Przed nimi wysoki płot z koroną z drutu.

Uciekinier nawet nie zwolnił – nabieg, łapa, łapa, przerzut nogi.

Zsunął się po drugiej stronie i zniknął w zaroślach.

Carter dobił do siatki półtorej sekundy później.

Drut chybotął.

Z drugiej strony już było pusto.

Dwa wdechy. Trzy. Odstąpił.

– Nie gonimy w ciemno

– zdecydował, łapiąc oddech.

– Wracamy po ślad.

*Na betonie, tam gdzie odbiło się od słońca, leżała **stara klapka od telefonu** i... metalowy brelok z małą, wyheblowaną tabliczką.*

*Na tabliczce markerem: **K-23**.*

– Bierzemy

– powiedziała Collins.

– I zrób zdjęcie dokładnie, jak leżało.

Ramirez podszedł z torebką dowodową.

– Burner?

– zapytał, zerkając na klapkę.

– Albo część burnera

– mruknął Carter.

– Zobaczmy, czy nie zgubił więcej po drodze.

Przeszli korytarz jeszcze raz

– metr po metrze.

*Przy rampie, pod krawężnią, leżał **pre-paid**, stary, popękany.*

Ekran był czarny, ale kiedy Carter przytrzymał przycisk, błysnął na sekundę i zgasł.

Wystarczyło, żeby mignęło powiadomienie: 1 nieodebrane połączenie: K.

Carter spojrzał na Collins.

Nie mrugnęła, ale minimalne spięcie szczęki zdradziło więcej niż słowa.

– Do labu

– powiedziała twardo.

– I wyciągnąć z kamer wszystko od północy.

Ten gość nie przyleciał tu z kosmosu.

Biuro kierownika magazynów było zagracone fakturami i pyłem.

Technik podpiął się pod rejestrator i mruknął:

– Mam. Wjazd **vana** o 21:07.

*Tablica rozmyta, ale widać **7K3** i dalej chyba **Z** albo **2**.*

*Godzinę później w tym samym kadrze stoi **czarny sedan***

– nisko, przy krawężniku.

Tego gościa goniliście.

– Cofnij o pięć sekund, klatka po klatce

– poprosiła Collins.

Na moment mignęła dłoń wychylająca się z okna sedana.

Papieros. Potem drobny gest

– jakby ktoś pokazał sygnał „zawijaj”.

– *Mieli czujkę*

– *stwierdził Carter.*

– *Nie przyjechał na chybił-trafił.*

Ramirez zsunął czapkę na tył głowy.

– „*K-23*”

– *powtórzył, patrząc na brelok.*

– *Może skrytka, może locker. Sprawdzę magazyny i przechowalnie w promieniu pięciu mil z sekcjami oznaczonymi literami.*

– *I przejrzyjcie bazy na inicjał K*

– *dodała Collins.*

– *Przezwise, ksywy, właściciele firm–wydmuszek.*

Cokolwiek.

Carter zanotował: 7K3—Z/2, czarny sedan, brelok K-23, burner z „K” na call logu.

Nie powiedział nic więcej.

Nie musiał.

To „K” dudniło w nim od wczoraj.

Popołudnie przepłynęło w papierach i krótkich odprawach.

Ktoś z narkotykowych przysłał listę wstępną z DMV: dwadzieścia siedem pojazdów z 7K3 w DC i hrabstwach ościennych.

Zaznaczyli trzy czarne sedany

– *dwa Fordy, jeden Chevy.*

Właściciele do sprawdzenia.

W biurze znów zapadła cisza.

Taka, która robi się między partnerami, kiedy każde ma w głowie własne pytania.

– *Jutro rano skrzykujemy ekipę*

– *powiedziała Collins, zamykając teczkę.*

– Dziś... róbmy swoje.

Carter skinął. Zwinął notatki w kieszeń marynarki.

Kiedy wychodził, zerknął jeszcze na brelok w torebce dowodowej.

***K-23** patrzyło na niego jak mała, metalowa drzazga.*

Wieczór. Powietrze nad M Street było gęste i ciepłe.

Carter wyszedł bocznymi drzwiami komisariatu, przeciął chodnik i ruszył w stronę parkingu.

Niebo różowiło od świateł.

Zatrzymał się na sekundę, bo coś go uwierało między łopatkami.

To dziwne, nieokreślone poczucie, że ktoś mierzy go wzrokiem.

*Po drugiej stronie ulicy, przy hydrancie, stał **czarny sedan**.*

Ten sam typ pozycji, to samo niskie zawieszenie.

Za szybą żarzył się punkt – papieros.

Ktoś palił w milczeniu.

Carter zrobił krok. Sedan odpalił cicho, wyjechał spod krawężnika i bez pośpiechu odsunął się w nocny ruch.

Bez zrywów, bez ostentacji. Jak cień.

Dan został na chodniku z ręką w kieszeni, ściskając notatkę z trzema literami i dwiema cyframi.

K-23.

Ta linia zaufania właśnie się ścieśniała.

I ktoś po drugiej stronie wiedział, jak ją naciągać.

Rozdział 4 – Pod Powierzchnią

Laboratorium kryminalne przy Quantico zawsze pachniało metalem i ozonem.

Nawet gdy komputery milczały, powietrze wydawało się elektryczne.

Carter wszedł z kubkiem zimnej kawy w dłoni.

Collins już tam była — oparta o blat, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Technik siedzący przy monitorach wstał, jakby czekał na moment, by im to powiedzieć.

– Wróciły wyniki z telefonu, który znaleźliście przy magazynach

– zaczął, przesuwając im tablet.

– Dane były czyszczone zdalnie, ale coś się ostało. Jedno zdjęcie, zaszyfrowane.

Carter pochylił się.

*Na ekranie — fragment lotniska, pas startowy, za nim zarys hangaru i budynek z logiem **Andrews Air Force Base**.*

– To nie przypadkowy kadr?

– zapytała Collins.

– Nie

– odparł technik.

– Plik był oznaczony tagiem GPS i podpisem „A-Deck”.

Szyfrowanie wojskowe. A właściwie... federalne.

Carter uniósł brwi.

– Federalne?

– Takie samo szyfrowanie, jakiego używa FBI w przesyłaniu poufnych zdjęć z operacji terenowych.

Ktoś wiedział, co robi.

Na moment w pokoju zapadła cisza.

Tylko szum komputerów wypełniał przestrzeń.

Collins przeciągnęła dłoń po twarzy.

– Miller i FBI?

To kiepski żart.

Technik wzruszył ramionami.

– Nie wiem, w co wdepnął, ale... jeśli macie dojścia, może lepiej zapytać po cichu, zanim ktoś inny zapyta was.

Kiedy wyszli z laboratorium, korytarz wydawał się dłuższy niż zwykle.

Carter szedł krok za nią, słysząc tylko echo własnych butów.

– Myślisz, że to przypadek?

– zapytał.

– W tej pracy nie ma przypadków, Dan.

– Spojrzała na niego krótko.

– Ale wiem jedno. Jeśli FBI ma coś wspólnego z tą sprawą, to albo jesteśmy im potrzebni... albo właśnie narobiliśmy sobie problemów.

Carter nie odpowiedział.

Wiedział, że Sarah Collins nigdy nie mówiła „problemy” na wyrost.

Korytarz komisariatu był pusty, gdy telefon Cartera zadzwonił.

Numer prywatny, tylko krótki sygnał. Podniósł i odebrał jednym ruchem.

— Detektyw Carter?

— głos był spokojny, kontrolowany.

— Mówi agent Morales z Biura.

Mamy kilka pytań w sprawie Millera.

Możemy się spotkać za godzinę?

Kafejka przy Fourth i L.

Nie do budynku, poza oficjalnym.

Carter spojrział na Collins, która właśnie wsuwała do teczki zdjęcia z magazynu.

Wymienili krótkie spojrzenie.

— Będziemy

— odparła krótko, skończyła notować adres.

— Przyjdziemy we dwóch.

Kafejka była półpusta, zapach świeżej kawy mieszał się z wilgocią ulicy.

Agent Morales siedział przy stoliku w rogu, patrzył na nich bez uśmiechu.

Na stoliku leżała czarna teczka

— żadnych odznak, żadnych pokazów.

Normalne, pozornie przypadkowe spotkanie.

— Panowie

— zaczął Morales, gdy usiedli

— dziękuję, że przyszlście.

Nie będę przed wami grać w tajemnice: to, co wyciągnęliście w magazynach, nie jest zwykłym zajściem z dilerem.

Collins natychmiast przyjęła służbową minę.

Carter jednak miał coś do pokazania.

*Wyjął z wewnętrznej kieszeni plastikową kopertę z zdjęciami, brelokiem **K-23** i pękniętym „burnerem”.*

— Mamy to

— powiedział spokojnie.

— Brelok znaleziony przy uciekinierze, burner z logiem „K” w call logu, vana z 7K3 i... zdjęcie z lotniska.

Ktoś próbował to wyczyścić, ale coś się ostało.

Agent Morales spojrział na zdjęcie lotniska, potem na Cartera.

Jego oczy się nieco rozszerzyły, ale twarz pozostała opanowana.

— Dobrze, że to przynieśliście tutaj, a nie rozklepaliście w korytarzu

— mruknął.

— K-23 to nie żadna ksywa uliczna.

To wewnętrzne oznaczenie projektowe.

Tylko kilka ludzi ma o tym pojęcie.

I nikt rozsądny nie wrzuca tego luzem do kieszeni.

Carter nie zaszedł w przesadny sposób — tylko rzucił:

— To więc ktoś z wewnątrz.

Ktoś, kto potrafi otworzyć schowek w magazynie i podpisać go tak, żeby wyglądało na rutynę.

— Albo ktoś, kto chce, żeby to tak wyglądało

— dodała Collins, bez tremy, ale z napięciem pod skórą.

— Znaleźliśmy w torbie zdjęcia, dokumenty... fragmenty akt.

Ktoś celowo wystawił to, żeby ktoś inny zobaczył.

Morales przysłonił dłonią usta na sekundę, jakby decydował, ile może powiedzieć.

— Powiem jedno i krótko

— rzekł.

— To nie jest lokalna przestępczość.

Miller mógł być łącznikiem.

Mogły tam być przekazy między grupą a przynajmniej jedną agencją federalną.

Nie powiem wam, która

— to nie ten etap.

Ale jak ktoś z zewnątrz zaczyna bawić się w „wewnętrzne oznaczenia”, to sprawa ma zasięg.

Carter poczuł, że robi mu się gorąco w twarzy: to był moment, w którym brainstorm, który prowadził nocami, zaczynał składać się w jakiś logiczny obraz.

— Chcecie, żebyśmy się wycofali?

— zapytał.

Agent Morales spojrzał najpierw na Collins, jakby czytał jej twarz.

— Nie

— odpowiedział spokojnie.

— Ale potrzebujemy koordynacji.

Nie chcę, żebyście kopali dalej bez nas; to może zaszkodzić życiu ludzi, których nie znacie.

Przyjdźcie z dowodami do nas.

Pokażcie, nie mówcie.

I bądźcie gotowi odpowiedzieć na pytania.

Rozumiemy potrzebę działania

— *ale są rzeczy, które FBI musi prowadzić inaczej.*

Carter wziął głęboki oddech.

Zauważył wtedy drobny gest Moralesa

— *dłonią przesunął po teczce, dotknął breloka K-23 i puścił to jakby mimochodem.*

— *Panie agencie*

— *rzucił Carter*

— *jeżeli to mówi, że to „dużo grubsza sprawa”, to powiedzcie nam chociaż jedno: czy Miller miał bezpośredni kontakt z kimś z agencji?*

— *Nie mogę*

— *Morales uciął, ostro, bez złości*

— *mogę tylko powiedzieć: nie wszystko, co wydaje się być prawdą, nią jest. I nie wszystko, co jest prawdą, jest tym, za co się podaje.*

W tym miejscu Carter pokazał, co miał: drobny szczegół, który wcześniej prawie zlekceważył

— *na jednym z dokumentów w torbie były inicjały w rogu, zakodowane zgodnie ze schematem, który widział kiedyś na starych aktach ojca.*

Carter wysunął jeden z wydruków, przesunął palcem po inicjałach.

— *To wygląda tak, jak w aktach mojego ojca*

— *rzucił.*

— *Ten format, te inicjały.*

Ktoś bawi się symboliką.

Morales zamrugał, tym razem już z zainteresowaniem.

— Jeśli masz dostęp do tego schematu, Carter, to dobrze.

Przyjdź do tego biura z tymi danymi, ale nie rozgłaszaj nic u siebie na komisariacie.

I bądź ostrożny z tym, komu to pokazujesz.

Spotkanie skończyło się bez oficjalnej umowy

— Morales nie podawał nazwisk, nie dał listy, nie podkreślił jawnie, że to FBI.

Pozwolił im odejść z półsłówkami, które jednak mówiły więcej niż powinny.

Na zewnątrz Collins zamknęła oczy i wzięła w końcu wydech.

— Nie lubię być prowadzona za rękę

— powiedziała cicho.

— Ale jeśli to faktycznie dotyczy agencji, to ktoś tu robił brudne rzeczy.

— I ktoś chce, żebyśmy spojrzeli w jedną stronę

— odparł Carter.

— Zobaczymy, czy to nie pułapka.

Agent Morales odjechał nieoznakowanym autem.

Carter i Collins zostali na chodniku, z teczkami w rękach, i po raz pierwszy poczuli, że ta sprawa ma wagę, która może ich przerosnąć.

— Dobrze

— rzekła Collins w końcu.

— Zrobimy to twoim sposobem: pokażemy dowody.

I jeśli coś się ruszy

— ja będę twoim plecami.

Carter zamknął teczkę mocniej, jakby chciał tam schować więcej niż dokumenty.

W głowie miał już plan, listę rzeczy do sprawdzenia, pytania do technika z labu.

Morales nie powiedział wszystkiego.

I dobrze

— to dawało im pole do działania, ale też ostrzegało: ktoś na górze obserwuje nie tylko Millera.

Archiwum w piwnicy komisariatu było chłodne i pachniało kurzem starych akt.

Carter zszedł tam sam, z latarką w dłoni.

Wiedział, czego szuka

— akt spraw prowadzonych przez jego ojca.

Nie pierwszy raz próbował coś w nich znaleźć, ale dziś wszystko wyglądało inaczej.

Szukał wzoru — tych samych inicjałów, które zobaczył na dokumentach z torby Millera.

Litery, cyfry, symbol przypominający zakodowany podpis.

I wtedy trafił.

Na jednej z teczek, oznaczonej datą sprzed ośmiu lat, widniał ten sam format:

K-23 / Sektor Delta / Operacja: Sublevel.

Pod spodem — nazwisko: Frank Carter.

Zrobiło mu się zimno.

Przewrócił kilka kolejnych stron, aż natknął się na notatkę:

„Kontakt wewnętrzny przekierowany do jednostki federalnej. Status: Poufne. Zachować ciszę operacyjną.”

Carter oparł się o stół.

Nie wiedział, czy właśnie rozwiązuje sprawę Millera, czy zaczyna grzebać w duchach przeszłości.

Telefon zabrzęczał na stole, aż podskoczył.

*Ekran: **Collins.***

— Dan, jesteś w archiwum?

— zapytała, a w tle słyszał szum radiowozów.

— Ramirez właśnie przesłał dane.

— I co tam masz?

— Trzy pojazdy z rejestracją **7K3**, tak jak mówił Morales.

Dwa to złom, ale trzeci...

— zawiesiła głos.

— Firma transportowa Bayline Logistics.

Zgadnij, kto jest udziałowcem.

— Kto?

— Facet o nazwisku **Robert Hale**.

Pracował kiedyś w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Carter wyprostował się.

— DHS... czyli mamy federalne powiązanie.

— I to nie były jakie

— dodała Collins.

— Ramirez mówi, że Hale zniknął dwa lata temu.

Oficjalnie na emeryturze.

Nieoficjalnie?

Nikt go nie widział od miesięcy.

Carter spojrzał znów na notatkę z nazwiskiem ojca.

Frank Carter. K-23. Sublevel.

Wszystko nagle zaczęło układać się w coś większego, ale wciąż bez kształtu.

— Sarah

— powiedział cicho.

— Mój ojciec był w to zamieszany.

— Nie mów tak

— przerwała mu ostro.

— Nie wiemy jeszcze, czym dokładnie było to K-23.

Może tylko oznaczenie sprawy.

— Może. A może nie.

Odłożył telefon i usiadł przy biurku.

Światło z latarki odbiło się od metalowego uchwyty teczki i oślepiło go na sekundę.

Kiedy przetarł oczy, przez chwilę miał wrażenie, że ktoś stoi w końcu korytarza.

Sylwetka, nieruchoma, zbyt cicha jak na kogoś z komisariatu.

Carter zamrugał. Nikogo tam nie było.

Na górze, przed budynkiem, Collins kończyła rozmowę z Ramirezem.

Zgasła papierosa, oparła się o radiowóz.

W lusterku dostrzegła czarny sedan zaparkowany po drugiej stronie ulicy.

Ten sam typ, co w magazynach.

Zadzwoniła do Cartera, ale ten nie odebrał.

Włączyła ponownie silnik i odjechała

– nie za szybko, nie uciekając, tylko jak ktoś, kto właśnie poczuł, że jest obserwowany.

W tym samym czasie, w biurze FBI w Arlington, agent Morales trzymał w dłoni telefon i patrzył na ekran, na którym pojawił się komunikat:

Aktywność zewnętrzna w sektorze K-23.

Użytkownik: Frank Carter – archiwalne dane otwarte.

Podniósł wzrok do współpracownika.

– Mówiłem, że młody Carter w końcu dotknie właściwego miejsca.

– I co robimy?

Morales westchnął.

– Na razie?

Patrzymy, jak głęboko zejdzie.

Rozdział 5 - Pęknięcia

Noc spadła nad miastem jak ciężka kotara.

Carter wrócił do mieszkania dopiero po północy.

Na biurku leżały akta ojca, a na ekranie laptopa

*– zrzut dokumentu z dopiskiem **K-23 / Sublevel**.*

Od kilkunastu minut patrzył na ten plik, jakby miał sam się otworzyć.

W końcu westchnął, wcisnął enter.

Hasło – pięć liter.

Nie znalazł go.

Wpisał pierwsze, co przyszło mu do głowy:

Sarah.

Złe.

Przesunął dłonią po twarzy.

Wtedy ekran błysnął komunikatem:

Nieautoryzowany dostęp zarejestrowany.

Zgłoszono do systemu monitorowania FBI.

Carter poderwał się z krzesła.

Wiedział, że to nie był zwykły plik z archiwum – tylko coś, co nadal działało.

I właśnie go uruchomił.

Rano komisariat tętnił ruchem jak zwykle, ale atmosfera była inna.

Kiedy Carter wszedł, ludzie z narkotykowego milkli na jego widok.

Kilku patrzyło krótko, inni udawali, że nic nie widzą.

Collins czekała przy biurku, z teczką w dłoni.

– Coś się dzieje

– powiedziała cicho.

– Kapitan kazał nam się wstrzymać ze sprawą Millera.

– Wstrzymać?

Dlaczego?

– Bo, cytuję, „federalni przejmują wszystko”.

Carter usiadł.

– Morales.

– Morales

– potwierdziła.

– Wczoraj dostałam notatkę służbową.

Oficjalnie mamy zakaz kontaktu z FBI w tej sprawie.

Carter spojrzał na nią uważnie.

– To znaczy, że ktoś chce to zamknąć.

– Albo...

– Collins pochyliła się bliżej

– ktoś boi się, że za bardzo zbliżyliśmy się do prawdy.

Godzinę później Ramirez z narkotykowego wpadł do ich biura.

Nie wyglądał dobrze.

– Słuchajcie, ktoś przeszukał nasze serwery.

Logi poszły do diabła, a wszystkie pliki z raportami Millera są oznaczone jako „przeniesione”.

Nie przez nas.

Carter uniósł brwi.

– Mówisz, że ktoś z zewnątrz?

– Mówię, że ktoś z wewnątrz miał dostęp.

Kapitan kazał mi się nie wtrącać, ale ja wam to pokazuję, bo coś tu śmierdzi.

Collins zamarła.

– Ramirez, masz kopie?

– Miałem.

Teraz mam tylko dziury w logach i komunikat „restricted”.

Wieczorem Collins zadzwoniła do Cartera.

– Spotkajmy się. Nie tutaj.

Umówili się w pustym barze, tym samym, w którym kiedyś zaczęła się między nimi ta niepewność.

Tylko tym razem nie było muzyki.

Nie było śmiechu.

– Coś ci muszę pokazać

– powiedziała, wyjmując z kieszeni pendrive’a.

– To kopia pliku, który Morales wysłał dziś rano do centrali.

– Skąd to masz?

– Ramirez mi podrzucił, zanim zniknął z pracy.

– Zniknął?

– Nie odbiera telefonu.

Carter podłączył pendrive do laptopa.

Plik otworzył się bez hasła.

Zdjęcie: Miller, Hale, i trzeci mężczyzna w garniturze.

*Twarz zamazana, ale podpis mówił wszystko: **Frank Carter – konsultant.***

Cisza między nimi była gęsta jak dym.

– To nie może być prawda

– wyszeptała Collins.

Carter siedział nieruchomo.

– A jednak wygląda, jakby ktoś chciał, żebym w to uwierzył.

Za oknem przeszła burza.

W ciemności, na parkingu, czarny sedan znów stał w cieniu.

Tym razem drzwi po stronie pasażera się uchylily.

Ktoś wysiadł, stanął przy masce i zapalił papierosa.

W jego uchu migala słuchawka.

– Potwierdzam.

Weszli w plik „Sublevel”.

Carter otworzył dokument.

Krótką pauza.

– Tak, oboje.

Cień zgasił papierosa i wszadł z powrotem.

Silnik odpalił bezgłośnie.

Rozdział 6 – Ostatni Sygnał

Poranek był ciężki i cichy.

Na komisariacie panowała dziwna pustka — jakby wszyscy czekali, aż coś się wydarzy, ale nikt nie chciał zrobić pierwszego ruchu.

Carter siedział przy biurku z kubkiem zimnej kawy, gapiąc się w ekran komputera, który nie chciał już nic pokazać.

Wszystkie pliki ze sprawy Millera – zniknęły.

Serwery wyczyszczone, konta zablokowane.

Collins weszła bez słowa.

Położyła na biurku kopertę.

– Przyszedł kurierem – rzuciła. – Bez nadawcy.

W środku był pendrive i krótki wydruk.

Na kartce jedno zdanie, drukowanymi literami:

Zanim oni powiedzą ci swoją wersję, zobacz moją.

Podłączyli pendrive.

Film.

Stare nagranie z monitoringu.

Data: 2015.

Obraz z wnętrza biura – Carter senior, siedzący przy stole z Hale'em i jeszcze jednym mężczyzną.

Rozmowa bez dźwięku.

Na końcu Hale podaje Frankowi dokument z pieczęcią FBI.

*W rogu ekranu widać oznaczenie: **Projekt K-23**.*

Carter odsunął się powoli od monitora.

– Mój ojciec... współpracował z FBI.

Collins spojrzała na niego spokojnie.

– Współpracował, albo prowadził coś dla nich. To zmienia wszystko.

Wtedy zadzwonił telefon biurkowy.

Nie komórka. Stacjonarny.

Nikt już tak nie dzwonił.

Carter podniósł słuchawkę.

– Detektyw Carter – powiedział.

– Agent Morales, FBI. Mamy sprawę do omówienia. Teraz.

Spotkali się w tym samym miejscu co wcześniej – kafejka przy Fourth i L.

Morales był sam, bez teczek, bez laptopa.

Wyglądał, jakby nie spał od kilku dni.

– Powiem wprost – zaczął, nie tracąc czasu. – To, co znaleźliście, było częścią starej operacji wewnętrznej. K-23 to kryptonim programu infiltracyjnego, prowadzonego wspólnie przez FBI i DHS.

– I mój ojciec był częścią tego programu – dodał Carter.

– Tak. Był jednym z agentów kontaktowych. Miał wprowadzić informatora w struktury gangu, do którego należał Miller.

Collins uniosła brwi.

– Więc Miller był...?

– Źródłem. Ale coś poszło nie tak. Operację zamknięto, ludzie rozeszli się, a potem zaczęły ginąć dane. Hale, który miał nad tym pieczę, zniknął. I wygląda na to, że ktoś próbuje teraz odtworzyć to, co było zakopane.

Morales pochylił się nad stołem.

– Macie dwie opcje. Możecie wrócić na komisariat i udawać, że nic nie widzieliście. Albo dołączyć do nas i dokończyć to, co wasz ojciec zaczął.

Carter milczał chwilę.

– Co to znaczy „dołączyć”?

– Formalna rekomendacja do FBI. Sekcja ds. operacji wewnętrznych. Nie będzie łatwo, ale... już jesteście w środku, czy wam się to podoba, czy nie.

Collins uśmiechnęła się półgębkiem.

– Czyli to zaproszenie czy ostrzeżenie?

– Jedno i drugie – odparł Morales.

Dwa dni później komisariat wyglądał jak zawsze, ale wszystko się zmieniło.

Collins i Carter stali przy swoich biurkach, puste kartony obok.

Kapitan przyszedł tylko na chwilę, żeby podpisać papiery.

– FBI, co? – rzucił z przekąsem. – W końcu ktoś was docenił.

Carter spojrzał na niego spokojnie.

– Nie szukamy zaszczytów. Tylko prawdy.

Kapitan tylko pokręcił głową i wyszedł.

Collins wsunęła ostatni segregator do pudełka.

– Pamiętasz, jak to się zaczęło? – zapytała cicho.

– Od trupa w zaułku i kilku woreczków z narkotykami.

– A kończy się...

– Odznaką FBI – dokończył za nią.

Oboje się uśmiechnęli, ale był to uśmiech ludzi, którzy wiedzą, że to nie koniec.

Wieczorem, w biurze FBI w Arlington, agent Morales siedział przy biurku i patrzył na dwa nowe identyfikatory leżące przed nim:

Special Agent Daniel Carter

Special Agent Sarah Collins

Drzwi otworzyły się bez pukania.

Jeden z nadzorców wszedł z teczką oznaczoną pieczęcią CLASSIFIED.

– K-23 znowu się rusza – powiedział. – Chcę, żeby to oni tym się zajęli.

Morales skinął głową.

– Wiedziałem, że tak będzie.

Spojrzał na dwa identyfikatory, po czym z lekkim uśmiechem wsunął je do koperty.

– Witajcie w Biurze, agenci.